ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 135.

№ 21. | Warszawa, 19 października (1 listopada) 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Smutny wypadek.

CIETRZEW.

(*Ciąg dalszy*).

Gdy cietrzewie zaczną już na dobre tokować i czuszykać, wtedy polowanie dzieli się na dwie główne kategorye: polowanie z budki i bez budki. Z tych dwóch, pierwsze, t. j. polowanie z budki, bywa też dwojakiego rodzaju: na tokowisku gęstem i na tokowisku rozrzuconem. Polowanie z budki na gęstem tokowisku rozpoczyna się w początku kwietnia i trwa często do końca tego miesiąca. Najlepsze bywa na tokowisku niezbyt zarosłem, ale też i niezbyt pustem. Zresztą w pierwszym wypadku, można wyrąbać parę zawadzających drzewek lub krzaków.

Najlepsze takie tokowisko, na którem rośnie kilka sporych drzew, a reszta pokryta bardzo małemi i rzadkiemi brzózkami, albo, co się częściej zdarza, krzaczkami. Wtedy pod drzewem, rosnącem mniej więcej w środku tokowiska, albo też między dwoma drzewami, łatwo da się urządzić wygodną skrytkę, z którejby można strzelać we wszystkie strony. Budkę trzeba zrobić zawczasu, najlepiej jeszcze w marcu, gdy się już dokładnie poznało miejsce toków. Budowa budki jest bardzo prosta, ale musi ona być zastosowaną do miejscowości: gdzie rosną głównie drzewa liściaste, trzeba ją robić z brzozy lub osiny i najlepiej w takim razie używać gałęzi z trzymającemi się jeszcze przeszłorocznemi, suchemi liśćmi. Gdy na tokowisku rośnie jałowiec lub inne iglaste drzewa, należy budkę robić z sosnowych lub świerkowych gałęzi. Im mniejsza budka, tem lepiej; dobrze jest wewnątrz wykopać jamę, w którą się, siedząc, spuszcza nogi. Szkielet budki robi się z 6—8 brzózek lub osin, których grubsze końce zaostrzone, wbijają się w ziemię, a cieńsze związuje się u góry łykiem lub sznurkiem. Wysokość budki nie powinna być większa od wzrostu człowieka, a jeżeli się kopie jamę, to może być znacznie mniejszą. Wierzch jej nie powinien być wcale przykryty, dolną zaś część trzeba robić gęstą, starannie przeplataną liściastemi lub iglastemi gałązkami.

Zasiadać w budce trzeba wcześnie, przynajmniej na półgodziny przed przylotem tokowika. Najlepiej przyjść późno wieczorem i już w budce czekać na świt. Myśliwy powinien się ubrać ciepło, w kożuch, któryby zakrywał kolana, i mieć z sobą coś do podesłania pod nogi, żeby było wygodniej czekać na zlot cietrzewi. Pierwszy przylatuje tokowik, ale do niego nie należy strzelać, gdyż, jeżeli się go zabije, tok może się zupełnie popsuć. Cietrzewie zlatują się bardzo wcześnie, często, gdy jeszcze zupełnie ciemno, ale strzelać trzeba tylko wtedy, gdy można rozróżnić muszkę, gdyż inaczej będzie się dużo pudłowało. Nie trzeba wychodzić z budki przed końcem polowania. Nie można za nic polować na jednem i tem samem tokowisku, więcej niż dwa dni z rzędu. Najlepiej z początku, polować przez dzień, a później co dwa, trzy lub cztery dni, ale wogóle, rzadko na którem tokowisku można polować z dobrym rezultatem, więcej niż trzy lub cztery razy.

Na rozrzuconem tokowisku poluje się też z budki, ale z bałwanem, i to na dwa sposoby: 1) z wabiem, 2) z naganką. Bałwan jest to podobizna cietrzewia, zrobiona z płótna, sukna lub drzewa i pomalowana na czarno. Bałwany, używane na tokach, bywają dwojakie: przedstawiające cietrzewia, siedzącego na drzewie, oraz tokującego na ziemi. Bałwan siedzący, łatwy do zrobienia w domu, powinien być lśniąco-czarny, mieć przyszyte nad oczami dwa podłużne, jaskrawo-czerwone paski, a z boków na miejscu lusterka i pod ogonem, kawałki białego płótna. Do ogona trzeba wetknąć kilka cietrzewich, zagiętych piór. Najlepiej go zrobić z czarnego, grubego sukna i wypchać sianem lub pakułami.

Bałwan tokującego cietrzewia, daleko trudniejszy do zrobienia, gdyż naprzód, trzeba dokładnie naśladować pozę, a następnie, do boków przyszyć trzeba rozpostarte skrzydła prawdziwego cietrzewia, jak również z tyłu, roztoczony ogon; brwi zaś muszą być bardzo wysokie. Można też robić bałwany obu gatunków, wypychając zabite cietrzewie; ale po pierwsze, niekażdy potrafi dobrze wypchać, a powtóre, bałwany wypchane bardzo są nietrwałe. Wobec tego wszystkiego, daleko wygodniej kupić gotowe, które niedrogo kosztują. Dobrze też mieć bałwana cieciorki, siedzącej na drzewie. Bałwan ten powinien być zrobiony z rudo-brunatnego sukna, lub pomalowa-

---

FATALNOŚĆ.

Zdarzenie prawdziwe.

Opowiedział

„Stary Sonntagsjäger".

Było to w ostatnich dniach września r. 1870. Polowaliśmy z „gończymi" na zające i lisy na zboczach, ciągnących się ponad Borysław i Banię Kotowską ku Popielom.

Żal serdeczny odzywa się w piersiach na samo wspomnienie owych pięknych chwil, kiedy to człowiek, rzuciwszy codzienne zajęcie, ze strzelbą na ramieniu i wiernym towarzyszem—psem, przebiegał lesiste stoki Karpat, na przestrzeni od Tustanowic do Nahujowic!!! A ładna to przestrzeń: 12,000 morgów!!!

Przeważna część dzisiejszych myśliwych chyba z opowiadania zna najpiękniejszy ze wszystkich sposobów polowania, polowanie z „gończymi". Szkoda, że ten sposób polowania dziś już prawie wyszedł z używania. Ale bo też dziś z każdym rokiem mniej myśliwych, a więcej strzelców—a do polowania z gończymi nie wystarcza być strzelcem, to jest umieć prosto nastawić lufę, ale trzeba być myśliwym!!! A i to nie wystarcza, jeżeli się niema dobrych psów. Dawniej każdy prawie szlachcic na jednej wiosce i kawałku lasu, miał swoją psiarnię, dziś—posucha, myszy, grad, wylewy rzek, raty bankowe i towarzystwa, kasyno narodowe, Ostenda, Riviera, Piccola i t. d. nie pozwalają na to. Poluje się więc z „nagonką" czyli, jak niektórzy piszą, z „naganką". Ale to rzemiosło, nie sztuka.

Polowaliśmy tedy na zające i lisy, posuwając się w kierunku od Borysławia ku Popielom. Kiedy około godziny pół do piątej po południu zrównaliśmy się z Banią Kotowską, doszedł nas z odległości około 100 kroków od grubego lasu, pod którym staliśmy, głos śpiewaka gruby, urywany, do którego po chwili przyłączyły się głosy Wisły i Zagraja. Z miejsca, na którem staliśmy, wzrok panował nad całą szerokością zboczy, od grubego lasu aż do pierwszych chałup Bani Kotowskiej. Głosy psów zwolna się oddalały w kierunku pól tejże wsi, a wtem doszedł nas z dołu odgłos strzału. Wytężyliśmy wzrok w kierunku strzału i oto po chwilce przedstawił się oczom naszym taki widok: z krzaków wysuwa się na pole ogromny dzik, a za nim wszystkie trzy psy i walą przez pole na przełaj ku ogrodom, rozciągającym się tuż pod chatami. Za tą kawalkatą, w oddaleniu około 100 kroków, sadzi wyciągniętym kłusem leśny Iwan, nawołując ogromnym głosem psy do odwrotu. Niedługo jednak cieszyliśmy się tem widowiskiem, gdyż dzik wpadł w najbliższą kukurydzę i znikł w niej razem z psami, a Iwan został sam.

Puściliśmy się przez krzaki na oślep, sadząc krokami olbrzymów, a dotarłszy do kukurydzy, w której znikły psy z dzikiem, przystanęliśmy, ażeby

ny na ten kolor; lusterka na skrzydłach i spód ogona białe, jak u samca, brwi wązkie, blado-czerwone, a w ogon można wetknąć kilka piór, wyrwanych z prawdziwego ogona cieciorki. Samo się przez się rozumie, że bałwan cieciorki musi być mniejszy od bałwana cietrzewia.

Do polowania z budki, na rozrzuconem tokowisku i z wabiem, potrzebny jest tokujący bałwan, a również dobrze jest mieć bałwana cieciorki. Wybiera się zawczasu miejsce na budkę, najlepiej gdzieś koło pola, lub otwartej polany, gdzie niedaleko zwykle tokuje kilka cietrzewi. Budkę robi się taką samą, jak na gęstem tokowisku, ale najlepiej urządzać ją w krzakach, między któremi jest kilka wyższych drzewek, na samym brzegu pola lub polanki. O jakie dwadzieścia kroków od budki stawi się na ziemi bałwana cietrzewia, z głową wyciągniętą ku ziemi, skrzydłami rozpuszczonemi i roztoczonym ogonem, przyczem wyraźnie i zdaleka powinno być widoczne białe podogonie. Na poblizkiem drzewie można umieścić bałwana cieciorki. Bałwana na drzewie umieszcza się następującym sposobem: wyrąbuje się t. zw. „bałwanica", t. j. tyka takiej wysokości, co i drzewko, na którem się chce postawić bałwana, ogałaca się ją z mniejszych gałązek i na końcu zatyka się bałwana, który ma w tym celu zrobioną dziurę w brzuchu, i przywiązuje się go sznurkiem (gdyż często się zdarza, że jastrząb chwyta i porywa bałwana). Następnie przystawia się bałwanicę z bałwnem do upatrzonego drzewa, i to tak, aby cieciorka była głową obrócona w stronę tokującego cietrzewia i żeby nie była przekrzywioną na bok, ale stała prosto. Wszystko to trzeba przygotować zawczasu, jeszcze przed świtem i gdy cietrzewie na dobre zatokują, siedzieć już w budce i wabić. Trzeba zaczynać od tego samego dźwięku, który cietrzew w czasie toku wydaje: „tiousz" lub „czuszy". Dobrze wabić jest bardzo trudno, chociaż się wydaje dość łatwo. Gdy cietrzew bełkocze, wabić nie trzeba, lecz gdy przestanie i „czuszyknie", zaraz odpowiedzieć. Cietrzew też odpowie, wówczas trzeba znów zawabić, niezbyt jednak często, gdyż to więcej zapala i rozzłoszcza cietrzewia. Gdy się dobrze wabi, to zwykle po paru przedrzeźnianiach, cietrzew podlatuje bliżej i znów się wabi, a nareszcie nalatuje na samego bałwana i czasem zaczyna go nawet dziobać. Ze strzałem wówczas zwlekać nie można, gdyż cietrzew prędko poznaje swą pomyłkę i odlatuje. Jeżeli koło cietrzewia znajduje się jedna lub para cieciorek, to ten jest daleko ostrożniejszy i na wab leci niechętnie, a tylko odpowiada zawzięcie. Stare cietrzewie w swych odpowiedziach na czuszykanie myśliwego, wydają zupełnie inny dźwięk, który brzmi, niby „m-ehrhru", a którym wyrażają gotowość do walki. Jednak i wtedy należy wabić czuszykaniem. Gdy się źle wabi, to cietrzew nie podlatuje, tylko odpowiada często przez całą godzinę. Można też przywabić cietrzewia i bez bałwana, ale na to trzeba doskonale wabić, lub natrafić na bardzo zajadłego cietrzewia, przy którym niema cieciorki.

Włodzimierz Korsak.

(C. d. n.)

W sprawie teoryi mylkusów.

W „Łowcu" znajdujemy następującą ciekawą korespondencyę z Grojca:

W czasopismach niemieckich zawodowych, „Jagdzeitung", „Jagd u Hund", „Weidmannsheil" i t. p., jak również dziełach Dietzla, Grasheya i innych, spotykamy teoryę, że ze zwykłego rogacza powstaje mylkus (Kümmerer) wtenczas, jeżeli skaleczonym lub postrzelonym zostanie w organa płciowe (Kurzwildpret). Jakkolwiek nie mam prawa zbijać powyższego twierdzenia, to jednak czuję się w obowiązku zakwestyonować jego nieomylność, czego dowodem następujący przykład.

Od lat czterech chowam rogacza w części ogrodu, umyślnie na to przeznaczonej i szczelnie ogrodzonej, którego przyniesiono mi kilkudniowem koźlęciem z wikli nad Solą, podczas jej wylewu. Ponieważ nie było nadziei, by po ustąpieniu wody mógł biedak matkę odnaleźć, przeto pozostawiłem go w domu, gdzie karmiony mlekiem, bułką, cukrem, później burakami, owsem, koniczem, wyrósł do dziś dnia na tęgiego szóstaka. Wystarałem mu się o siutę, z którą miał bliźniaki, które jednak niestety wraz z matką na motylicę padły.

---

odsapnąć i rozpatrzyć się w sytuacyi, a głównie, ażeby odnaleźć Iwana.

Niedługo czekaliśmy, gdyż po kilku minutach wysunął się z sadu, przypierającego do owej kukurydzy, o jakie 50 kroków od nas, dając nam tajemnicze znaki i wzywając do siebie. Za nim wsunął się chłop, trzymający psy na sforach.

Zbliżyliśmy się do Iwana i dowiedzieliśmy się od niego, że udało mu się dobiedz dzika w krzakach i strzelić z odległości 20 kroków, że jest to ogromna maciora i że mocno farbuje; wsunęła się w kukurydzę, wyszła z niej, przebiegła ścierń i weszła w kukurydzę między płotem a debrą, o jakie 200 kroków od nas, nie wyszła z niej i musi być w dolnym końcu zagonu.

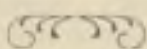
Wysłuchawszy raportu Iwana, ojciec, który był komendantem polowania, jako jego właściciel, kazał nam, t. j. mnie, starszemu bratu, Gustawowi, i stryjowi Mikołajowi, obstąpić z trzech stron kukurydzę, a Iwanowi z czwartej strony, ode wsi, puścić w nią psy, sam zaś dla pewności stanął na brzegu debry, skąd miał widok na przyszłe pole walki, zamykając zarazem dzikowi odwrót przez krzaki ku lasowi. Ja stałem w końcu kukurydzy, przypierającym do wylotu debry. Zaledwie miałem czas do zdjęcia z ramienia strzelby, gdy wtem straszny szum i trzask łamanych łodyg kukurydzy przestrzegł mnie o zbliżaniu się dzika. Wypadł mi na połeć, palę w samą komorę z odległości nie większej, jak 10 kroków, lecz zajęczak nie wiele musiał zrobić szkody, bo dzik w susach poszedł wąwozem w górę wprost na ojca, stojącego za krzakiem leszczyny. Strzał jeden i drugi, i w mgnieniu oka dzik pod mojemi nogami... Strzelam, nie celując prawie, z pod pachy, poczem dzik, omijając kukurydzę, która go tak niegościnnie przyjęła, defiluje wzdłuż zagona wprost na Gustawa, oczekującego nieprzyjaciela ze strzelbą przy twarzy... Huk! dzik wali się na przednie nogi, lecz jak błyskawica, zrywa się i buch w kukurydzę, wyskakuje drugą stroną, lecz tu dwa strzały stryja kładą kres jego nędznemu życiu. Zziajani puszczamy się ścieżyną pomiędzy ogrody ku wsi, ażeby odetchnąć i napić się wody. Wchodzimy do wsi, gdzie wcale niezwykły widok uderza nasze oczy. Oto kilkadziesiąt osób różnego wieku, bo nawet i dzieci, zaległo ulicę na całej szerokości, chłopi podzieleni na grupki, rozprawiają głośno, gestykulując i pokazując palcami na bróg, stojący na podwórzu chaty, do której właśnie dochodziliśmy. Ciekawością zdjęci, przystanęliśmy, chcąc się o przyczynie zbiegowiska dowiedzieć. Od jednej grupy odłączył się stary, przygarbiony chłop, który pozdrowiwszy nas, opowiedział następującą historyę:

Moja stara poszła w pole nakopać bulby na wieczerzę, a ja usiadł sobie na przyzbie i zapalił lulkę. Siedział tak i dumał... Oj! bo jest o czem dumać... Przychodziły żydy onegdaj do mnie, żeby im sprzedać debrę; na co im może być debra potrzebna? Ta to ani drzewa, ani trawy, ot! gadzina, ta karapata się czasem chowa... Niema i ćwierć morga, a oni da-

Rogacz ten, goniony jako spiczak na wiosnę, gdy miał parostki miękkie i jeszcze niewytarte, przez młode jamniki, które się przypadkowo do ogrodzenia wkradły, wpadł, uciekając, w siatkę drucianą i prawy parostek nad różą nadłamał, innych zaś obrażeń nie odniósł, bo udało się na czas jamniki połapać. W następnym roku zamiast wideł, osadził bardzo silne, mocno uperlone parostki szóstaka, o tyle tylko nieregularne, że prawy nadłamany, silnie ku tyłowi głowy odchylony.

W tym roku, zatem czwartym swego życia, osadził znowu parostki silnego szóstaka, o bardzo grubych i szerokich różach i perłach, nieleżące jednak w tej samej płaszczyźnie, bo prawy, tak samo jak w roku przeszłym, od nasady silnie w tył odchylony o jakie $1^1/_2$ do 2 ctm., a nadto z róży tegoż wyrasta trzecia samodzielna, pojedyncza łodyga, około 10 ctm. długa, grubości małego palca. Tak więc parostki te, zdaniem mem, przedstawiają nieczęsty okaz mylkusa, pomimo, że właściciel ich nigdy nie był skaleczony w części płciowe. Żałuję, że kilkakrotne zdjęcia opisanych parostków, nie powiodły się fotografom-amatorom, bo rogacz, z natury bardzo złośliwy, na widok kamery, jak byk torera, na ostro atakuje.

Jan Chwalibóg.



PUMA, CZYLI KUGUAR.

(Felis concolor).

(Dokończenie).

Clavigero nie zastanawia się nad przyczynami podobnego przesądu u indyan kalifornijskich, lecz znając charakter pumy, nie trudno je odgadnąć. Nie ulega wątpliwości, że indyanie doskonale znali przyjacielski stosunek pumy względem człowieka i jej nienawiści ku wszystkim wielkim drapieżnikom, wrogom ludzi. Widząc ją na swej stronie w trudnej walce o byt w tych dzikich w owe czasy okolicach, oszczędzali przychylne sobie zwierzę, a nawet okazywali mu również swe przyjacielskie usposobienie. Z czasem, z powodu nizkiego poziomu umysłowego dzikich ludzi, stosunek ten zamienił się na stały przesąd.

Na zakończenie opowiem historyę Maldonady, znaną powszechnie w Buenos-Ayresie i opowiedzianą szczegółowo przez Ruy Diaza de Guzman, w jego „Historyi zaludnienia La-Platy“. Guzman cieszył się wielką powagą w młodych koloniach i uważany jest dotąd jako dokładny i poważny kronikarz swych czasów. Podług jego kroniki, w r. 1536 wyczerpały się zupełnie zapasy żywności u kolonistów Buenos Ayresu, a że przytem wrogie pokolenia indyan zajęły cały kraj, z wyjątkiem miejsc ufortyfikowanych, mieszkańcy ich przeto doprowadzeni zostali do strasznej nędzy. W celu uzyskania pomocy, gubernator Mendoza udał się do innych kolonij w górę rzeki, a władzę swoją przelał zastępczo na kapitana Ruysa, odznaczającego się wielką srogością. Wkrótce doszło do tego, że wydawano już tylko po 6 uncyi mąki na człowieka, a ponieważ w dodatku mąka była spleśniała i niezdrowa, mieszkańcy musieli żywić się różnemi drobnemi stworzeniami, nie wyłączając żmij, żab i ropuch. Ruy Diaz i inni pisarze podają straszne szczegóły tej nędzy. Niejaki Borco Sentenera utrzymuje, że z 2,000 mieszkańców miasta, 1,800 zmarło śmiercią głodową. Trupy chowano zaraz za wałami fortyfikacyjnemi, a zapach zgnilizny przynęcał mnóstwo zwierząt drapieżnych, co czyniło los pozostałych przy życiu mieszkańców, jeszcze cięższym, gdyż puszczając się w okoliczne lasy, byli narażeni na niechybne prawie rozszarpanie. Znajdowali się jednak śmiałkowie, czyniący podobne wycieczki, a pomiędzy nimi była i pewna młoda kobieta, zwana Maldonadą. Na nieszczęście, oddaliwszy się zbyt daleko, Maldonada schwytaną została przez indyan, którzy uprowadzili ją do swej wioski i trzymali u siebie przez kilka miesięcy. Kapitan Ruys, dowiedziawszy się przypadkiem, gdzie się uwięziona znajduje, skłonił indyan do wydania jej, a następnie, jako posądzoną o umyślną ucieczkę do indyan w celu zdradzenia swych rodaków, skazał na rozszarpanie przez dzikie zwierzęta. Maldonadę wyprowadzono do lasu na odległość mili od miasta, przywiązano tam do drzewa i pozostawiono na dwie noce i jeden dzień. Kiedy po upływie te

---

wali 300 remskich, ta to majątek... pomyślał: to jakaś nieczysta sprawa, i nie sprzedał. Zresztą ojciec i dziad nie sprzedał, to i ja nie sprzedam. Mówi kum: tam będzie kipiączka, a niech sobie będzie, to syn, ta wnuk ją znajdzie... A mnie na co?... Kiedym tak dumał, słyszę za płotem jakiś szelest... Oglądam się, bom myślał, że sąsiada świnia lezie do ogrodu..., a tu pek! dyk jak stricha, wali przez płot prosto na obejście, zobaczył mnie—fuknął—błysnął czerwonemi ślepiami i jak strzała — smyk... pod bróg. Aha, ty mij, pomyślałem, i z pośpiechem, na jaki stare kości pozwalają, poskoczył do chaty po siekierę, żeby bróg spuścić. Ten Jać, to nie będzie z niego dobry gospodarz, taki rozsijany, że żadnej rzeczy na swoje miejsce nie położy. Tak i siekierę zapchał pod skrzynię, a nie położył pod półkę, gdzie zawsze leży. Szukał za siekierą, ale znalazł... Wyszedł na podwórze, obszedł bróg, żeby świnia nie widziała, bo na trzech obróżynach był spuszczony, tylko na czwartej podniesiony, przysunął się do strzechy, podniósł siekierę w górę... i buch! świnia w worku!!!...

Teraz ja posłał zwołać sąsiadów, żeby pomogli dzika zabić i wyciągnąć, bo jeden albo i dwóch, a nawet i trzech ludzi nie da rady. Zbiegło się narodu, jak mrowia, aż z dolnego końca przyszli. Każdy wziął ze sobą, co miał pod ręką. Jeden siekierę, drugi motykę, gdzie jaki łusznię, ta orczyk, a Łukasz, co to był za kucharza za nieboszczyka hrabiego, świeć Panie nad jego duszą, przybiegł ze strzelbą, którą na pamiątkę po hrabim dostał. Toto był "pan z panów, nieboszczyk hrabia!... Nie żałował ludziom niczego, ni drzewa z lasu, ni grzybów, ni malin, ta afin... chodził każdy i zbierał. Bywało na przednówku, to i chleba da, a zapłaty nie weźmie, pyta się tylko: „A jak jabym był głodny i przyszedł ciebie prosić, czybyś mi nie dał?“ Zebrali my się tedy na podwórzu i rada w radę—uradzili, ażeby ci, co mają żelazne widły, stanęli przy brogu w pierwszym szeregu, w dalszym ci, co mają siekiery, a na ostatku reszta. Ale że to u chłopa nigdy niema jedności i zgody, wystąpił Wasyl i w długiej przemowie wyłuszczył, że jest to rzecz tak poważna i niezwykła, że bez wódki prawie żaden nie odważy się walczyć z dzikiem, i to w dodatku takim dużym. Mowa ta znalazła posłuch u zebranych i zażądano wódki. Posłałem tedy do karczmy po garniec wódki, którą wypiwszy, ruszyliśmy do ataku. Najodważniejszy Hryć podłożył drąg pod róg brogu, stęknął i podniósł go o tyle, żeby zajrzeć, w którem miejscu dzik siedzi... Zaglądnięcia podjął się Dmytro kominiarz..., położył się na ziemi i wetknął głowę w otwór. „Nic nie widzę“, zawołał, ciemno, podnieście wyżej! Stęknął ponownie Hryć i uniósł bróg wyżej. „Jeszcze nic widać, podnieście drugi róg, to będzie jaśniej“ zawoła znowu Dmytro. Podniesiono drugi róg i z niecierpliwością czekał każdy na raport Dmytra, który, kręcąc głową na wszystkie strony, rozglądał się pod brogiem, jak gdyby szukał kurczęcia, a nie dzika. Naraz podniósł się,

go czasu przyszli tam żołnierze, pewni, że znajdą tylko objedzone kości, zdumieli się, zastawszy kobietę nie tylko żywą, lecz nawet niezadraśniętą. Opowiedziała ona, że na pomoc jej zjawiła się puma, która odpędzała wszystkie inne, zbliżające się dzikie zwierzęta. Natychmiast ją odwiązano i przyprowadzono z powrotem do miasta, gdyż uratowanie jej życia przez pumę, uważano jako wskazówkę Opatrzności, że Maldonada jest niewinną i nie zasługuje na karę. Ruy Diaz dodaje, że on sam znał tę kobietę, która w liczbie bardzo niewielu rodaków przetrwała głód i doczekała się lepszych czasów.

Gdyby podobny wypadek zdarzył się w naszych czasach i do tego gdziebądź na południowych krańcach Ameryki, gdzie charakter pumy jest dobrze znany, niktby go nie przypisał cudowi, jak w owej historyi Maldonady.

Zmarły już obecnie prof. Romens, zdając sprawę o pierwszem wydaniu książki „Naturalista w La-Placie", w majowym numerze miesięcznika: „Ninetcenty Centurie" za r. 1893, przytacza następujący ciekawy wypadek:

„Przed kilku laty otrzymałem od jednego z mych znajomych z południowej Ameryki list, potwierdzający w zupełności dziwny charakter pumy.

Pewnego razu znajomy mój przechadzał się na brzegu lasu, a nie przewidując niebezpieczeństwa, nie wziął z sobą fuzyi, ani żadnej innej broni. Nagle i zupełnie niespodziewanie zjawiła się z głębi lasu bardzo duża puma. Jakkolwiek przyjaciel mój przestraszył się bardzo tak nieoczekiwanem i niepożądanem spotkaniem, zmiarkował jednak, że wykazanie strachu tylko pogorszy jego położenie; poszedł więc, niby śmiało na spotkanie zwierzęcia. Puma ze swej strony szybko podbiegła i zaczęła wyskakiwać naokoło mego przyjaciela, a nawet ocierała się o jego nogi z przymilaniami rozpieszczonej, domowej kotki. Niefortunny amator przechadzek, przyjmował te karesy, jako oryginalny wstęp do napadu, i jak łatwo się domyśleć, nie odpowiadał na nie wzajemnemi karesami. Szedł on dalej swoją drogą, zachowując postawę, o ile mógł spokojną, i jakgdyby nie widząc nawet niebezpiecznej towarzyszki, która w końcu, tak nagle, jak zjawiła się, zniknęła wśród mroku gąszczy.

Do czasu wydania książki p. Hudsona mój przyjaciel był silnie przekonany, że spotkana przez niego puma, cierpiała na pomieszanie zmysłów.

---

splunął i ze złością krzyknie: „Co wy tu z ludzi durniów robicie? Tu niema żadnego dzika." Zgłupieliśmy wszyscy, a najbardziej ja sam, bom przecież na własne oczy widział, jak dzik wlazł pod bróg!!! Zaczęli więc ludzie jeden po drugim przybliżać się i zaglądać pod bróg, ale żaden nie mógł dojrzeć dzika. Wreszcie podniesiono bróg na wszystkich czterech obrożynach, a dzika jak nie było, tak niema. Zaczęły się sypać domysły. Jeden posądzał mię, że zasnąłem na przyzbie i że mi się dzik przyśnił; drugi rzucił podejrzenie na starą Oleksyhę, że czary na mnie rzuciła. Inny znowu twierdził, że to sztuczka nieczystego – naj sia procz każe — i że trzeba dać znać księdzu, ażeby obejście poświęcił i t. p., aż dopiero wyrostek, który w sadzie pasł cielę na powrózku, rozjaśnił tajemnicę... Oto widział, jak ja pobiegłem za siekierą do chaty, a dzik tymczasem wysunął się z pod brogu i czmychnął w kukurydzę!!!...

„I proszę wielmożnych panów, kto winien, że dzik uciekł, jakby z worka, czy nie ten szelma, Jać, który siekiery na miejsce nie położył?" dodał starowina, drapiąc się w głowę.

Pocieszyliśmy go, jak każdy umiał, ojciec zwrócił mu za kupioną wódkę z naddatkiem, za co stary przyrzekł wystarać się o podwodę dla odwiezienia dzika, i pożegnaliśmy go, dążąc ku domowi, oddalonemu o jakie 6 kilometrów, unosząc w pamięci zabawne zdarzenie.

Pisałem w Kosowie 10 sierpnia 1904 r.

(„*Łowiec*").



Kłusownictwo we Francyi.

(*Dokończenie*).

Polujący w czasie zabronionym według art. 12 nº 1, podlega grzywnom od 50 do 200 fr. lub karze więzienia od 6 dni do 2 miesięcy. Jeśli winny zostanie złapany podczas nocy lub posiada przy sobie zabronione przybory łowieckie, albo-li też broń, — kara może być zdwojoną. Polujący w nocy, karany jest grzywną 50 do 200 fr. lub więzieniem od 6 dni do 2 miesięcy; kara ta według art. 12 nº 7 może być zdwojona, jeśli winny miał przy sobie zabronione przybory łowieckie, broń, lub jeśli polował na gruncie cudzym.

Przechowywanie lub noszenie sieci i innych zabronionych przyborów łowieckich, pociąga za sobą grzywny 50 do 200 fr. lub karę więzienia od 6 dni do 2 miesięcy, która to kara może być podwyższona do 400 fr. lub 4 miesięcy więzienia, jeśli przestępstwo spełnione zostało na cudzym gruncie w nocy, z bronią ukrytą lub jawną. Użycie zabronionych przyborów lub sposobów łowieckich jest również karane grzywną 50 do 200 fr. lub więzieniem od 6 dni do 2 miesięcy. Kara ta może być podwyższoną do 400 fr., ewentualnie do 4 miesiecy wieży, jeśli łowy odbywały się nocą, z bronią ukrytą lub jawną, i na cudzym gruncie. Użycie przynęt, wabików, wszelkich preparatów chemicznych jest karane grzywną 50 do 200 fr. lub więzieniem od 6 dni do 2 miesięcy. Kara ta podwyższoną być może do 400 fr. przy okolicznościach, wyżej wymienionych.

Sprzedaż, kupno i kolportowanie zwierzyny w czasie zabronionym, karanem jest grzywną 50 do 200 fr. lub aresztem od 6 dni do 2 miesięcy—według brzmienia art. 12 num. 4.

Nadto art. 12 opiewa, że kary, wymienione w art. 11 i 12, będą zawsze stosowane w najwyższym stopniu, jeśli przestępstwa dopuszczą się gminni stróże polowi lub leśni, jak również stróże rządowi oraz instytucyj publicznych.

Według art. 14, wszystkie te kary będą zdublowane w następujących wypadkach: jeśli przestępca należy do kategoryi recydywistów; jeśli był przebrany lub zamaskowany; jeśli przybrał cudze nazwisko; jeśli użył gwałtu względem kogokolwiekbądź; jeśli groził; przyczem nie wykluczają się kary wyższe, przewidziane przez prawo. Tenże sam art. 14 opiewa, że w razie recydywy w wypadkach, przewidywanych przez art. 11, kara zamknięcia od 6 dni do 2 miesięcy może być zastosowana, jeśli przestępca nie wypełnił poprzedzających wyroków.

Według art. 15 recydywa ma miejsce wtedy, jeśli przestępca dopuścił się przestępstwa w ciągu 12 miesięcy od wyroku na podstawie niniejszego prawa. Według zaś art. 17, jeśli dowiedzione zostaną kilkakrotne naruszenia niniejszego prawa lub kodeksu karnego, lub też praw specyalnych, wówczas stosowanym będzie najwyższy stopień kary.

Według mego punktu widzenia, najlepszym środkiem zwalczania kłusownictwa byłoby karanie tych, którzy nabywają zwierzynę od kłusowników, zachęcają ich do uprawiania niecnego rzemiosła i handlują wogóle zwierzyną, nieprawnie zdobytą. Kłusownik jest tylko instrumentem w rękach całych legionów paserów, handlarzy produktów spożywczych, których sklepy i kuchnie, jak rok okrągły, są zao-

patrzone w zwierzynę kradzioną. Taki klusownik jest dostawcą fabrykantów konserw, dla których terminy polowania nie istnieją zupełnie. Karząc klusowników, należy również mieć na oku i tych, którzy popierają to niecne rzemiosło.

Na zakończenie p. Testart wskazuje na wadliwość francuskiej procedury sądowej. Znał on pewnego klusownika, przeciw któremu prawo było bezsilne. Schwytany przez jednego ze strażników na gorącym uczynku, dostaje wezwanie do sądu, lecz na posiedzenie nie stawia się i zostaje skazany zaocznie. Woźny niesie wyrok, nie zastaje wszelako przestępcy w domu, gdyż ten jest właśnie zajęty przy swych wnykach. W jakiś czas łowią go żandarmi, wówczas nasz przestępca zgłasza opozycyę, wskutek czego żandarmerya puszcza go na wolność; w naznaczony dzień nie staje do sądu, który znosi opozycyę: żandarmi znów go łowią, lecz on wówczas mówi, że będzie apelował, więc go puszczają na wolność; do apelacyi nie staje, sąd go skazuje zaocznie i w ten sposób nasz „obywatel“ drwi sobie z prawa i z sędziów.



NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ IV.

3 i 4 marca. Niebo zachmurzone, chłodno, deszcze przechodzą, ubijając nieznośną kurzawę. Dnie nasze jakby do podróży zamówione. Wyruszywszy nadedniem z Gwalioru, szybko przebyliśmy pierwszą stacyę. Droga prowadzi wśród pól uprawnych, okolica równa, gdzieniegdzie tylko skaliste pagórki, jak kopce z ziemi wyrosłe, osady częste, kraj widocznie gęsto zaludniony i żyzny. Pszenica, stanowiąca tu obok ryżu i bawełny, główny produkt rolnego gospodarstwa, po większej części już zebrana; dwa razy ją tu w roku sieją i raz we wrześniu, drugi raz w lutym zbierają. W tym roku uskarżają się na ciężki nieurodzaj, mizernie też wyglądają niezebrane dotąd łany, które widzimy. Na pierwszej stacyi Mahoona, w porządnym domku zajezdnym, czyli „Dak bungalow“, zastaliśmy wysłane dwa dni przedtem bagaże nasze i Majkla, który nam doskonałe śniadanie przygotował, dając tem dowód, że z innemi swemi zdolnościami łączy również i talent kucharski. „Dak bungalow“ są to domki zajezdne z kamienia zbudowane, z trzema pokojami gościnnemi, mniej więcej jak nasze karczmy nad traktami, z tą tylko różnicą, że znacznie czyściejsze i porządniejsze. W całych Indyach znajdują się one dla wygody podróżnych i myśliwych, co dziesięć mil przy publicznych drogach, nieraz nawet w głębi lasów lub na szczytach gór niedostępnych. Każdy podróżny ma prawo za małą opłatą do „bungalow“ zajechać, kilka godzin lub noc w nim przebyć, pewnym będąc wygodnego noclegu i skromnego pożywienia, które zawsze u dozorcy domu znaleść można. Po 24 godzinach winien z domu ustąpić, zapisując swe nazwisko i czas pobytu do książki podróżnych. Istna to opatrzność dla myśliwych i turystów! Wyznać trzeba, że na każdym kroku w Indyach widać rozumną i praktyczną rękę angielskiego gospodarza. Znakomite, starannie utrzymane szosy, w najodleglejszych okolicach ułatwiają komunikacyę, małe nawet osady posiadają stacyę telegraficzną, poczty wszędzie chodzą tak regularnie, jak może mało w jakim kraju w Europie, nie mówiąc już o ogromnej sieci kolei żelaznych, które, w ostatnich lat dziesiątkach zbudowane, przerzynają wzdłuż i wszerz cały półwysep Indyjski.

W Mahoona przesiedliśmy się na bryki wielbłądzie: jazda w nich nie jest zbyt przyjemna, trzęsą haniebnie i wielbłądy wolno, żółwim krokiem postępują. Dopiero około północy dowlekliśmy się do Sipri, na pół drogi od Goony. Tu czekała na nas tak zwana wojskowa poczta wielbłądzia, o tyle lepsza i wygodniejsza, że wielbłądy kłusem idą, wozy zaś są lżejsze i na resorach. W zapisach z ostatnich lat w książce podróżnej widzę nazwiska księcia Borysa Czetwiertyńskiego z Moskwy, hr. Trautmansdorfa i księcia Braganzy z Wiednia—wszyscy trzej byli gośćmi Gerarda. Zresztą podróżnych na tej drodze mało, nie więcej niż kilkunastu w ciągu roku.

Przenocowawszy parę godzin w Sipri, o świcie ruszamy dalej. Jazda szybciej idzie, kraj mniej więcej podobny do okolic Gwalioru, mniej jednak gęsto zaludniony i dzikszy, teren więcej falisty, w oddali sinieje łańcuch skalistych pagórków, gęstą roślinnością pokrytych.

Zmieniamy trzy razy wielbłądy, czas przyjemny, bo chłodny, droga szybko mija, wreszcie około 5 stajemy w Goonie, przed willą pułkownika Gerarda, przebywszy 140 mil angielskich w mniej niż 36 godzin. Pułkownik i pani Gerard oczekiwali nas — po pierwszem przywitaniu zeszła rozmowa naturalnie na temat polowania.

Na pierwszy rzut oka poznać można w Gerardzie wiernego adepta św. Huberta. Zahartowany na niewygody w twardem życiu wojskowych marszów i obozów myśliwskich, od 25 lat mieszka w Indyach, zna całe łowiectwo na palcach i uważa polowanie jako jedyną rozrywkę, poświęcając mu każdą wolną od wojskowych zajęć chwilę. Polował wiele na całej kuli ziemskiej i na setki liczy grubą zwierzynę i tygrysy, własną ręką ubite. Obecnie jako komendant jednego z najpiękniejszych pułków angielskiej armii (Central Indya Horse) od kilkunastu lat mieszka w Goonie i jest prawdziwą opatrznością dla cudzoziemców, w myśliwych celach do Indyj przybywających, których chętnie podejmuje i polowanie im ułatwia, skoro mu są przez znajomych poleceni. Do tego miły, uprzejmy i gościnny; lepiej trafić nie mogłem. Powtórzył mi zaraz na wstępie, o czem kilkakrotnie w poprzednich listach swych do mnie wspominał, że przybywam zawcześnie, tygrysów wogóle mało i nadzieje słabe. Innej zato zwierzyny poddostatkiem; obiecał mi na jutrzejszy dzień wycieczkę do miejscowości, gdzie zeszłej nocy pantera, wystawionego na przynętę wolu, ubiła i jest możliwość dostania jej.

Roztasowałem się wygodnie w willi pułkownika, doktora zaś i Stefana pomieszczono w ogrodzie pod namiotami. Willę stanowi obszerny i ładny domek, z kamienia zbudowany, dość dziwacznie zzewnątrz wyglądający, bo zdobią go gzymsy i filary starej świątyni indyjskiej.

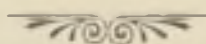
Wieczór zeszedł szybko na pogadance z państwem Gerard. Pułkownik polował między innemi i w Karpatach węgierskich na jelenie, o których mówi, że po Wapiti są to w rogach najpiękniejsze jelenie na świecie. W Warszawie przesiedział trzy tygodnie, jako angielski wysłannik wojskowy podczas wielkich manewrów — tematu do rozmowy zatem dosyć.

5 marca. Raniutko poszedłem sztućce próbować, gwaliorskie bowiem pudła do antylop zachwiały me zaufanie do mych nowych Springerowskich ekspresów. Okazało się jednak, że strzelają celnie, niemniej i grubokalibrowy sztuciec w Kalkucie nabyty.

Pułkownika zastałem już na placu ćwiczeń wojskowych, przyglądającego się ewolucyom swych żołnierzy: piękne i rosłe chłopy, z północnych prowin-

cyj rekrutowane, typem twarzy podobni nieco do Czerkiesów, w mundurach z szarego płótna, w niebieskim zawoju na głowie. Konie mają przeważnie arabskie, z Arabii importowane, małe nieco, lecz ogniste i rącze.

(*C. d. n.*).



Ze wspomnień starego myśliwego.

Polowanie na kaczki. Zarys ich natury i zwyczajów.

(*Dokończenie*).

Przyjechał do mnie brat mój młodszy, niemający w sobie jednej żyłki myśliwskiej. Czas był prześliczny, żadnego wiatru i pora odpowiednia, bo woda znacznie opadła. Zaproponowałem bratu, żeby pojechał ze mną na kaczory, chętnie na to przystał, choćby dla samej przejażdżki czółnem. Po śniadaniu, około 11 godziny, wziąłem parobka do powożenia i podjechaliśmy pod kępę lasu kilkunastumorgową, zalaną wodą. Zawabiłem i w tej chwili odezwał się kaczor niezbyt daleko—w tym momencie wjechaliśmy w las, aby się ukryć; zawabiłem powtórnie i niebawem ujrzałem nieboraka, jak skwapliwie przedziera się przez gałęzie i krzaki; brat mój dostrzegł go i szepce mi: o, płynie, płynie—cicho—ja go widzę. Tym sposobem zabiłem 5 kaczorów. Wreszcie wyjechaliśmy na obszerną łąkę, jakby wiankiem z łóz otoczoną. Zawabiłem, odezwał się kaczor w drugim końcu łąki; dobrze słyszałem, że jest w łozach, niedaleko brzegu wody, wypadało skryć się jaknajprędzej, uderzyliśmy zatem czółnem całą siłą w łozy, ale niestety, czółno uwięzło w połowie; o poprawieniu się już mowy być nie mogło, bo kaczor właśnie pokazał się; szczęściem, że było ze 300 kroków, więc nas nie dojrzał; mogliśmy tyle tylko zrobić, żeśmy się twarzami do niego obrócili; zawabiłem raz jeszcze i kaczor szybko począł płynąć do nas. Przyczajeni, jak tylko można było najniżej, czekaliśmy na niego. Rzeczywiście bardzo ładny mieliśmy widok, patrząc na tego nieboraka, jak na gładkiej, jak lustro, wodzie dzielił piersiami falę w dwie strony. Przed sobą miałem parobka, na którego ramieniu oparłem strzelbę. Zaczął mi się prosić: o la Boga, panie, nie wytrzymam. — Wytrzymaj jeszcze trochę, mój kochany, — wreszcie kaczor, przyszedłszy mniej więcej na kroków 50, spostrzegł nas, choć może nie rozpoznał co to jest, ale przestał płynąć, wykręcił się bokiem, trzeba było strzelić. Że mi to wszystko, jako myśliwemu, sprawiło przyjemność, nic nadzwyczajnego, ale brat mój i parobek, obaj nie myśliwi, a tak różnej kultury, wprost byli zachwyceni; dzisiaj jeszcze, po latach 40-tu, brat mój przy zdarzonej sposobności, jeszcze mi przypomina tego kaczora. Wracaliśmy do domu, płynąc jeziorem, które ciągnęło się popod lasem. Brzegi jeziora gęsto były obrosłe loziną tak, że co się działo w lesie, nic widać nie było. Zatrzymaliśmy się, ale po zawabieniu nie słychać było kaczora; pomimo to zawabiłem jeszcze parę razy, aż tu nagle z pod łozy, o kilka kroków od nas, wyrywa się para kaczek, zwabiona widocznie głosem trwogi; po strzale spadł kaczor siódmy, a mogłaby była spaść i kaczka. Uważam to za plon bardzo dobry w tej porze roku w przeciągu mało co więcej, jak 4 godziny.

Przypomnijmy sobie całodzienne moje polowanie nad Wieprzem, kiedy jeszcze wabić nie umiałem; owocem jego bywała jedna kaczka, a nieraz i z próżnemi wracałem rękoma. Na tem zakończam polowanie na kaczki; dam tylko jeszcze krótki wykaz ptactwa wodnego i błotnego, jakie widywałem nad Bugiem, nie wdając się w szczegółowe opisy, jako do myślistwa nienależące. O kilka wiorst od m. Hrubieszowa są nad Bugiem dwie wioski: Gródek i Czumów, pomiędzy niemi jest duża łąka po obydwu brzegach jego, w paru miejscach błotnista, poprzerzynana przytem jeziorami. Na niej od najwcześniejszej wiosny do najpóźniejszej jesieni, widywałem wiele rzadkiego ptactwa. I tak: ciągnącego wieczorem ptaka, większego od gęsi, z krótkim, grubym dziobem; parę kasztanowatych nurów, może wielkości gęsi; dwa razy pelikana, czaple białe w dwóch gatunkach, czaplę siwą, mniejszą od pospolitej, z szyją od spodu i piersiami żółtawemi; jakieś cztery ptaki, podobne do mewy, ciągle po łąkach chodzące; 11 łabędzi w dwóch gatunkach gościło u mnie na stawisku blizko dwa tygodnie; zabiłem opisaną wyżej kaczkę z kitką na głowie, widziałem cztery kaczki z jasno fioletowemi, prawie niebieskiemi głowami, stadko małych kaczek żółto-srokatych, kaczora wielkości krzyżówki z głową czekoladową, zabiłem sikorę-wąsatkę, widywałem tu rzadkiego sokoła przez dwa lata, a jakiego zabiłem na Podlasiu, ale ten w „Łowcu" umieszczonym nie został; u sąsiada był w ogrodzie jakiś ptak wielkości kury, ale mi go ani zabić, ani pokazać nie chciał, nadto słyszałem wieczór głosy dwóch ptaków, jakich zresztą nigdy nie słyszałem.

Prawdopodobnie, czytający cały ten opis, wiele kwestyonować będą—ha! trudno—nie jestem nieomylny, ale i ja nie wierzę w nieomylność uczonych, bo weźmy np. czasy, kiedy nas uczono chemii i fizyki, wiele się to od owej pory zmieniło, albo przez ile to wieków uczeni starożytni uprawiali astronomię, a jaki przewrót od czasów Kopernika. To tylko zapewnić mogę, że wszystko, co tu opisałem, własnemi widziałem oczyma i niejednokrotnie sprawdziłem, że wytworów bujnej imaginacyi nigdy za niewzruszone pewniki nie podawałem, zaledwie zaznaczając hypotezy, wreszcie wszystko na przykładach wykazać starałem się.

K. Dębicki

DOGI.

(Molossy).

Jestto najmniej liczna grupa psów domowych, tak co do ogólnej ilości hodowanych obecnie okazów, jako też pod względem różnorodności ras, z których się składa. Sprawiedliwość przyznać każe, iż dogi w naszych czasach są psami najmniej użytecznemi, a biorąc przeciętnie, i najmniej inteligentemi. Przewyższają one za to wielkością i siłą psy pozostałych grup, gdyż nawet dorównywające im pod temi dwoma względami, nowoczesne s. bernardy i terre-neuvy, zawdzięczają swą wielkość i siłę domieszce krwi dogów.

Szczątki kopalne wielkich psów, towarzyszących człowiekowi pierwotnemu, pochodzą z epoki lodowej, co dowodzi, że domniemani przodkowie dogów przywędrowali z ludźmi do Europy znacznie później od psów ostrouchych i wielkich pasterskich, z których pierwsze zjawiły się już w nowszym okresie kamiennym, a drugie w bronzowym. Dowodzi to także, iż pochodzą one od innego gatunku psów dzikich, gdyż człowiek w owych czasach nie był w stanie przez dobór i hodowlę powiększyć tak znacznie wzrost i grubość kości nawpół dzikich psów. Sądząc z odnalezionych kości, ówczesne wielkie psy, wzrostem i budową najwięcej były zbliżone do obecnych dogów duńskich. Z późniejszych znacznie czasów znajdujemy

wyobrażenia dogów na assyryjskich i babilońskich płaskorzeźbach z epoki, poprzedzającej na dwa i pół wieków naszą erę. U greckich autorów znajdujemy też wzmianki o wielkich i strasznych molossach, lecz wzmianki te grzeszą taką przesadą, że wspominać o nich nie warto. Takich psów, któreby w pojedynczej walce zwyciężały lwa lub choćby tylko lamparta, nigdy nie było i być nie mogło. Ówczesne molossy były zapewne odważne i zacięte, ale siła ich musiała być ograniczoną wzrostem i grubością kości, a wykopaliska z epoki lodowej i płaskorzeźby asyryjskie dowodzą, że większych, a tem samem silniejszych psów od obecnych dogów nie było nawet w najodleglejszych epokach.

W starożytności, ludy barbarzyńskie używały molossów do polowania na wielkie, lecz niezbyt szybkie czworonogi, oraz jako pomocników w walkach z nieprzyjaciólmi. W miarę jednak postępu cywilizacyi, zarzucano używanie molosów do celów wojennych, gdyż lepsze uzbrojenie czyniło napaść psów bezowocną. Po zjawieniu się w Europie psów gończych wisłouchych, i myśliwska rola molossów uległa znacznemu ograniczeniu, wynalazek zaś broni palnej uczynił współudział w myślistwie wielkich i silnych psów zupełnie bezcelowym. Obecnie też dogi, zeszedłszy oddawna do roli psów luksusowych, zatraciły prawie zupełnie swą dzikość i stały się spokojnemi, choć mało użytecznemi przyjaciołmi człowieka. Jedyne spożytkowanie siły tych wielkich psów polega w naszych czasach na używaniu ich do zaprzęgu, co praktykuje się w zachodniej Europie. Potomkowie dawnych bohaterskich psów ciągną spokojnie wózki z jarzynami lub mleczywem.

Dogi różnią się wybitnie od psów innych grup wzrostem, masywnością budowy przy odpowiednio grubych kościach, głowami stosunkowo dużemi, o szerokiem czole i mordami krótkiemi, zakończonemi tępo i z nizko opuszczonemi, górnemi wargami. Dolne powieki u dogów zwykle są opuszczone, a często do tego stopnia, że widoczną jest wewnętrzna błona.

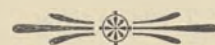
Oprócz kilku ras, zachowanych do naszych czasów we względnej czystości, pewną domieszkę krwi dogów mają i psy dwóch innych grup. Widzieliśmy już poprzednio, że przez krzyżowanie z dogami poprawiono, a raczej zepsuto rasę psów new-foundlandzkich i wytworzono nowoczesną rasę s. bernardów. Również pewną domieszkę krwi dogów mają wszystkie zachodnio-europejskie psy gończe i wyżły, odziedziczywszy ją od psów Ś-go Huberta, które powstały z krzyżowania wisłouchych gończych z dogami. Ślady tej domieszki zatracone zostały prawie zupełnie u wyżłów angielskich, lecz pozostały bardzo widoczne u legawców hiszpańskich, francuzkich, włoskich i niemieckich.

Jakkolwiek pierwotną ojczyzną dogów zdaje się być Azya, co potwierdzają wizerunki tych psów na asyryjskich płaskorzeźbach, przechowała się tam do naszych czasów jedna tylko rasa dogów tybetańskich. Wszystkie inne rasy ustaliły się i przechowały w Europie i ztąd dopiero, w nowszych już czasach dostały się do innych części świata.

1. Dogi tybetańskie.

Rasa ta różni się tak wybitnie nietylko od psów wszelkich innych grup, ale nawet i od europejskich dogów, że ktokolwiek widział choćby jednego tybetańskiego doga lub nawet tylko dobry rysunek, wyobrażający psa tej rasy, zachować go musi w pamięci na zawsze. Z drugiej jednak strony, psy tybetańskie mają tyle cech wspólnych z innemi dogami, że stanowczo do tej grupy zaliczone być muszą. Najbardziej charakterystyczną jest głowa, bardzo wielka, o czole szerokiem i wypukłem i dość krótkim nosie. Skóra na łbie i policzkach jest silnie pofałdowaną, a wierzchnie wargi nadmiernie rozwinięte i zwieszone. Fałdy nad oczami i opuszczone dolne powieki nadają wzrokowi wyraz ponury i dziki. Uszy nieduże, zwieszone. Ogon silnie zakręcony w górę. Szerść twarda, na szyi, łopatkach, tylnej części szynek i na ogonie długa, na głowie, uszach i reszcie ciała dość krótka. Długa szerść na karku i szyi oraz wielka, o charakterystycznym profilu, głowa, nadają właśnie dogom tybetańskim oryginalny wygląd. Zresztą są to psy prawidłowej, silnej budowy, wzrostu około 75 cm., maści albo czarnej jednolitej, albo czarnej z podpalaniem. Jako psy ponure i powolne, powierzchowności mało sympatycznej, mało mają zwolenników wśród europejskich hodowców, można je jednakże spotykać w ogrodach zoologicznych. W ojczyźnie pełnią służbę psów pasterskich.

(C. d. n.).



Kongres Myśliwski.

(Dokończenie).

Tępienie łosiów doszło do tego, że wreszcie król duński musiał wydać rozkaz w r. 1730, ażeby prześladowaną wszechstronnie zwierzynę ochronić przynajmniej przez czas miesięcy zimowych i wiosennych, zaprzestając wtedy strzelania do niej i łowienia. (Za dawnych czasów urządzano doły pułapkowe na łosie w krajach północnych; do dołów tych wpadały bardzo „liczne", jak zapewnia stara kronika miejscowa, osobniki, szczególnie w pobliżu miejsca rui). Zarządzenie wspomniane, było nader użyteczne, a jednak zniesiono je, ze względów politycznych, po upływie lat 14 od wydania nakazu, który zachował moc swą na przyszłość jedynie wobec matek-łosiów. Dzięki temu też przedewszystkiem, stan łosiów wzmacniał się powoli, lecz coraz więcej, zarówno pod względem liczebnym, jak i na punkcie rozrostu fizycznego.

Następne prawodawstwo usiłowało głównie zachować, jak można najdłużej, ten pomyślny stan rzeczy, najprzód ustalając równomierne odstrzelenie liczby, łosiów rocznie w każdym *„gaard"* — rewirze myśliwskim, a dalej ograniczając terminy tego odstrzelania. Naturalnie, że w ten sposób zaczęły się odzywać z większą jeszcze siłą, dawne skargi na szkodliwość łosiów dla leśnictwa. W niektórych wypadkach narzekania te były bardzo poważne, poparte prawie niezbitemi dowodami. Dyrektor leśny, Saxlund, przedstawił na kongresie kilka przykładów, między innemi z obwodu Fossum w Telemarku, gdzie na równinie z 17,000 „maal" (mil angielskich?) przez kilka lat łosie wyrządziły szkodę na 200,000 „kron" (krona = 50 kopiejkom), przegryzając młode kultury sosen. O podobnych wypadkach zakomunikowano także rządowi z fjeldów we wschodniej i północnej części kraju.

Charakterystyczną była ta okoliczność, że wiadomości takie nadchodziły zawsze tylko z okolic, gdzie znajdowały się lasy sosnowo-choinkowe, natomiast w miejscowościach, zarosłych lasami jodłowemi i liściastemi, szkody były bardzo nieznaczne.

Mówca kończy wywody wnioskiem, że rząd nie powinien ociągać się z wysłuchaniem tych narzekań, lecz wydać zezwolenie na podwyższoną liczbę łosiów do odstrzelenia tam, gdzie one istotnie czynią szkody w lasach. Wniosek ten wywołał nader ożywioną dyskusyę; szczególnie Szwedzi zwracali uwagę na to, że tak zwana szkodliwość dla lasów da się określić w nader prosty i niezawodny sposób. Z doświadczenia wiadomo, że łoś przebywa zawsze tam, gdzie otaczające go warunki miejscowe, zapewniają mu chwilowo dobre żerowisko. Różni się on tem od jelenia i sarny, że one znikają zawczasu z miejscowości, któ-

rej całokształt nie sprzyja rozwojowi zwierzyny. Natomiast łoś nie ma tylu wymagań i znosi dobrze wiele niewygód. Dla łosia nawet stan wody w danej okolicy nie odgrywa wielkiej roli, gdyż zwierz ten woli odbywać milowe marsze, celem odszukania orzeźwiającej wody, aniżeli opuścić raz zajętą okolicę, mimo, że jej zalety polegają tylko na tem, iż ma on tam zapewnioną samotność, spokój i bezpieczeństwo, o które łoś dba bardzo pilnie.

Czasami się zdarza, że to stanowisko łosia jest otoczone nader bujną roślinnością: wierzbami, osiczyną, drzewami bzowemi, i bielowatemi. Takie miejsca stanowią idealny rewir dla łosiów, gdyż tam ich nie dostrzeże najbystrzejsze oko leśniczego, tembardziej, że łoś nie ma zwyczaju, jak jeleń, wychodzić z lasu i przebywać na otwartych płaszczyznach uprawnych, na rżyskach i t. p. W rewirach wyżej położonych, gdzie susza i niesprzyjający teren nie pozwalają rozrastać się roślinom bielowatym, zjawia się na ich miejsce jałowiec, upragniony przysmak łosiów. Dopiero tam, gdzie brak i tego skromnego krzewu, a las składa się z samej sosny i choiny, których jedynem podszyciem są igły, z drzew spadające, — łoś istotnie bywa w takich warunkach przedmiotem krzyżowania się interesów myśliwego a leśniczego. Wszakże postępowe ulepszenia w gospodarce leśnej potrafią zaradzić szkodom, przez łosie wyrządzanym, i łagodzić je, bez uciekania się do tępienia tej zwierzyny.

Nadzwyczaj interesujący przykład takiego postępowania przytoczył na kongresie szwedzki nadleśniczy, Hallgren, zarządzający leśnictwami królewskiemi w Halle i Hunnbergu. Zapewniał mianowicie, że w jego rewirze, obejmującym około 65,000 „maal", znajduje się 500 łosiów, które, mimo to, dotąd nie wyrządzają szkód ani śród drzew młodych, ani starych.

W dalszym ciągu obradowano nad: „myśliwskiem i leśnem znaczeniem borsuka", „wpływem postępowego uszlachetnienia psów myśliwskich rasowych na współczesne myślistwo" i t. d. Na zakończenie kongres zastanawiał się nad ciekawym tematem przyswajania obcych gatunków zwierzyny w krajach północnych. Doświadczenia w tym kierunku są wogóle bardzo zadawalające, o ile próby dotyczyły drobnej zwierzyny łownej; częściowo nawet rezultat wypadł świetnie. Dokonane eksperymenty w celu przyswajania kur błotnych (w Szwecyi zachodniej), przepiórek wirgińskich (w Södermanlandzie), zajęcy niemieckich (w Szonen) i kuropatw (w Norwegii południowej) udały się najzupełniej dobrze. W zakresie grubszej zwierzyny dobre widoki na przyszłość daje szczególnie przyswajanie jeleni i sarn, jak również w dogodniejszych miejscach — bażantów; za to osiągnięto albo bardzo wątpliwe wyniki, albo zupełnie niedobre na punkcie przyswajania gemz, wapiti i wołów piżmowych.

O tych ostatnich jeden z uczestników kongresu udzielił wiadomości, że w Norwegii robiono w zeszłym roku próby z ośmiu niezwykle interesującemi okazami tych wołów, ale rezultat był taki, że wszystkie zdechły. Natomiast w Szwecyi utrzymują się egzemplarze wołów piżmowych, ale niema nawet nadziei, żeby z nich było kiedykolwiek, tak bardzo pożądane potomstwo.

Sporządzono także na kongresie statystykę rozległości obszarów myśliwskich w czterech krajach północnych, obliczając stosunek ilościowy ludności do tych obszarów. Wypada tedy: w Norwegii jest najmniej mieszkańców na każdy metr kwadratowy obszaru myśliwskiego, gdyż 7 osób tylko; w Szwecyi liczba ta podnosi się do 8, w Finlandyi do 12, a w Danii dochodzi aż do 226.

J. K—z.

Myślistwo na wystawie w St. Louis.

Wystawa wszechświatowa, „*World's fair*", w St. Louis miała osobny dział myśliwsko-leśny, który zajął potężną budowlę, długości 200 metrów. Rzeczoznawcy twierdzą, że żadna wystawa myśliwska nie była jeszcze tak obficie obesłaną, jak ta obecna.

Łatwo sobie wyrobić pojęcie o wielkiem niegdyś bogactwie zwierzostanu amerykańskiego, gdy się widzi na wystawie ogromne mnóstwo zwierzyny wypchanej i niezliczoną ilość futer, skór i ptaków spreparowanych. Trzeba niestety dodać: „to było niegdyś!". Nierozsądek ludzki i krótkowidztwo rządu amerykańskiego pozwoliły „wyprzątnąć" pola i lasy, gdzie dawniej była obfitość zwierza łownego. Kto dzisiaj chce polować w Stanach Zjednoczonych, musi wpierw wybrać się ekspresem na trzy—cztery dni drogi w kierunku odległego zachodu, gdzie jeszcze przebywa liczna zwierzyna. Podobnie zresztą, jak łowiectwo, wyniszczono w Ameryce lasy, uprawiając dotąd jeszcze gospodarkę rabunkową. Dopiero niedawno nastąpiło polepszenie, przeznaczono bowiem znaczne sumy na ponowne zalesienie. Amerykanom podoba się też bardzo dział myśliwsko-leśny, przedstawiony przez Niemcy, z tego względu, że wskazuje, jak bardzo przezornie i oględnie uprawiają te dziedziny w Niemczech.

Na wystawie w St. Louis niemcy lepiej jednak urządzili dział leśny, aniżeli myśliwski. Między innemi był tam wielki aparat ze stereoskopem, zawierający widoki lasów niemieckich, począwszy od młodzieńczej kultury, do drzew olbrzymich. Zdjęcia dokonał profesor akademii leśnej w Muenden. Aparat cieszył się ogromnem powodzeniem na wystawie.

Ze szczególnem zamiłowaniem studyowali od dział niemiecki japończycy. Dnie całe i długie godziny badali różne urządzenia i melioracye. Nadleśny, Sieber, który dozorował na wystawie, zapewnia, że ci drobni azyaci zadawali o wiele ciekawsze pytania, świadczące o znajomości rzeczy, aniżeli różni europejczycy i amerykanie.

Tenże delegat ministeryum niemieckiego, Sieber, wystawił jedyną na wystawie głowę odyńca. Ekscelencya von Heintze jest wystawcą ogromnych łopat danieli, a Bock z Berlina dał dobre rogi sarnie, z różnemi anormalnościami. Między kozłami były także syberyjskie, chociaż te powinny należeć raczej do oddziału rosyjskiego. Lecz takiego, jak wiadomo, wcale nie było na wystawie. Natomiast ruchliwi japończycy wystąpili z licznemi i wartościowemi okazami prawie we wszystkich działach wystawy. W dziale myśliwskim Japonia dała głównie różne przybory myśliwskie i przyrządy do łowienia ryb, a przytem grupy dobrze wypchanych zwierząt łownych, japońskich, z których szczególnie ciekawe były kaczki.

Zagermann z Berlina dał łopaty łosiów dosyć duże, jak na niemieckie, ale niewytrzymujące porównania z olbrzymiemi łopatami łosiów z Kanady i niektórych stanów Ameryki północnej. Dwaj fabrykanci żelaz na drapieżniki, ze Szląska, R. Weber i C. Grell, popisali się swemi wyrobami; fabryka zaś optyczna Hensoldt z Wetzlaru dała lunety myśliwskie. Z broni niemieckiej na wystawie zasługuje na uwagę karabin myśliwski, zwany Luger, krótki, lecz doskonale zbudowany podług najnowszego systemu. Automatycznym tym karabinkiem posługuje się podobno na polowaniu cesarz Wilhelm II. P. Levinger, przedstawiciel tej fabryki broni, obecny na wystawie, pokazywał tam zalety broni. Stany Zjednoczone używają pistoletów „Luger" do celów wojskowych.

W ogromnym pawilonie leśniczo-myśliwskim można było dnie całe przepędzać na długich studyach, nie wyczerpując obfitego materyału. Były tam tysiące ptaków wypchanych, począwszy od drobn

libra, a skończywszy na potężnych królach powietrza. Następnie były bawoły. Z tymi panami preryj dzieje się teraz tak, że sami amerykanie podziwiają je, jako coś okazowego. Przed kilku dziesiątkami lat bawoły tworzyły stada, z wielu tysięcy sztuk złożone; obecnie zwierzęta te spotyka się już tylko w parkach, jako ostatnie okazy. Wyniszczyły je ustawiczne polowania bez ograniczeń, gdyż mięso bawole było bardzo poszukiwane.

Były też wspaniałe wapiti z rogami, jakich nie widziano chyba jeszcze nigdzie. Również okazale przedstawiały się łosie, ogromne egzemplarze tych olbrzymów, które wymierają, niszczone strzelbą i wciąż postępującą kulturą. Niezadługo i one będą należały do przeszłości, jak bawoły! Niedźwiedzie spotyka się w każdym kąciku budynku wystawowego. Są czarne, brunatne i szare niedźwiedzie, śnieżnobiałe, niedźwiedzie-olbrzymy, a i niedźwiedzie amerykańskie nie są karłami!

Indyan, tych urodzonych myśliwych, było tysiącami na wystawie. Umieszczono ich na różnych punktach rozległego terenu wystawowego. W prymitywnych chatach ze skóry i ziemi, jak na preryach, przebywali czerwonoskórzy razem z żonami i dziećmi. Leniwym krokiem włóczą się po wystawie, uzbrojeni w łuki i strzały. Jedynem ich zajęciem było po za popisami widowiskowemi, żebrzeć o jałmużnę u gości, zwiedzających wystawę. Otrzymawszy monetę 5-centową, indyanie wsadzają ją w ziemię, oddalają się na 25—30 kroków i wypuszczają strzały, które nigdy nie chybiają. Moneta trafiona, zatacza łuk szeroki, indyanin ugania się za nią i zabiera, poczem rozpoczyna się dalsza żebranina. Ten „naród myśliwski“ wogóle wywiera mało sympatyczne wrażenie na wystawie.

(*Dok. nast.*)

Z „Przeglądu Tygodniowego“.

W n-rze 41 „Przeglądu Tygodniowego“ z r. b. w rubryce „Echa Warszawskie“ czytamy:

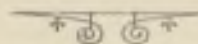
„Piękna, prawie letnia pogoda, nagie pola, z których zebrano, co się tylko zebrać dało, zachęcają do łowów na szarą zwierzynę. To też nasi Nemrodzi z towarzystwa racyonalnego polowania, urządzają szereg forsownych zabijatyk na zające. Tam, gdzie Towarzystwo dzierżawi lasy i pola, rozlegają się gęste strzały... w większej części pudła, ku uciesze gromad wyrostków i dziatwy wiejskiej, użytych do naganki. Zabawnie jest patrzeć, jak pod sterem gajowych, niby wodzów, rozwija się szereg dziewczyn i chłopaków z chorągiewkami w ręku w łańcuch, otaczając pole dla wystraszenia... jednego zająca. Szanowne bowiem Towarzystwo ochrony zwierzyny, zajęte wzniosłym celem osaczania zielonych stolików, ma zaledwie tyle czasu, aby parę razy do roku zapolować na kuropatewki lub zające, pozostawiając całą troskę wyhodowania zwierzyny matce-naturze. Tymczasem liczne szeregi kłusowników i sontagjegerów wyprzedzają urzędowych Nemrodów i wybijają szczątki zwierzostanu w kraju. Natomiast podczas uroczystego polowania, padają ofiarą zasiewy włościańskie i dworskie pod nogami naganki, która nie pyta, czy pole dzierżawne, czy obce, i pędzi, tratując wszystko, co na drodze spotyka. Piszący te słowa, sam był świadkiem podobnego wypadku na świeżych posiewach, a strofowana służba, grubiańsko odpowiedziała na słuszne monita. Towarzystwo powinno surowo zabronić podobnego nadużycia, gdyż zamiast sympatyi z powodu ochrony zwierzyny, spotka się ze skargami ludności wiejskiej“.

Ładnie to niby napisane, a kupy się nie trzyma i przedewszystkiem niema w tem ani słowa prawdy! Niby to na dzierżawionych przez nasz Oddział terytoryach „rozlegają się gęste strzały“ — i do czego? — do „wystraszonego“ przez liczną nagankę „jednego... zająca“. Sz. panie, jedno z dwojga, albo dodaj pan zajęcy, albo ujmij strzałów.

Sz. autor „Echa“ gromi nas, że zaledwie parę razy do roku polujemy na kuropatewki lub zające, pozostawiając troskę o wyhodowanie zwierzyny matce-naturze. Czyżby sądził że polując częściej, dopomoglibyśmy matce-naturze do hodowania zwierzyny? A o zabiegach naszych hodowniczych musi być bardzo źle poinformowany; gdyby raczył pofatygować się do nas, objaśnilibyśmy go chętnie w tym względzie, co niewątpliwie należało do jego obowiązków, skoro o tym przedmiocie pisać zamierzał. Takie strzelanie bez prochu—to nie dziennikarska robota, to fuszerka.

Piszącemu „Echo“ musiało się śnić, że widział nagankę naszą, tratującą świeże włościańskie zasiewy, najpierw dlatego, że w r. b. dotychczas na terytoryach Oddziału nie było ani jednej naganki i nie strzelano do żadnego zająca, powtóre, że sami włościanie nie pozwoliliby na to, nie czekając interwencyi prasy. W zimie, przy mrozie, naganka na całym świecie chodzi po zasiewach i nikt się na to nigdy nie żali.

Wogóle jaki był cel napisania, a raczej wydrukowania powyższego „Echa“ w „Przeglądzie Tygodniowym“—konia z rzędem temu, kto odgadnie.



Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Na ostatniem posiedzeniu Delegacyi Wyborczej, w dniu 17 października, następujący kandydaci przyjęci zostali w poczet Rzeczywistych Członków Oddziału: pp. Dyakowski Kazimierz z Warszawy, Kasprzycki Jan z Warszawy, Młodowski Kajetan z Warszawy, Orsetti Konstanty z Warszawy, Rossman Ludwik z Bielawy, Frankenstein Władysław z Warszawy, Szymanowski Stefan z Warszawy, Majewski Leon z Warszawy, Ćwikiel Stanisław z Warszawy, Kurtz Stanisław z Warszawy, Piasecki Józef z Popkowic, Grabiński Józef z Uniejowa.

Wydział Ochrony i Polowań wyznaczył w tym roku 9 polowań zimowych w dobrach Osieckich. Na owych polowaniach będzie 138 miejsc, na które zapisy przyjmuje Kancelarya Oddziału od 31 października do 7 listopada do godz. 8-ej wieczorem. Składka wynosi 8 rb. 50 kop. Na listę uczestników polowania zapisywać się mogą tylko Członkowie, niezalegający w opłacie składek członkowskich, które zresztą można wpłacać przy zapisywaniu się na listę. Losowanie uczestników odbędzie się bezpośrednio po upływie terminu zapisów, d. 7 listopada.

Terminy polowań wyznaczono, jak następuje:

Sobienie hr. Jezierskiego —19 listopada,
Pogorzel—26 listopada,
Augustówka—3 grudnia,
Łucznica—10 grudnia,
Grzebowilk—17 grudnia,
Lubice—23 grudnia,
Warszewice—30 grudnia,
Regut—7 stycznia i
Górki i Rudnik—14 stycznia.

Terminy polowań na Sobienicach, Augustówce i Warszewicach, w razie nieodpowiedniej pogody, będą zmienione.

Nadzwyczajne Ogólne Zebranie, 26-go października. Przewodniczył na Zebraniu p. Blumental, który na sekretarza Zebrania zaprosił p. St. Kutznera. Obradujących było 70.

Przedewszystkiem Ogólne Zebranie postanowiło cofnąć tytuł Dostawcy Oddziału, wydany p. Szczepańskiemu, jako właścicielowi zakładu wypychania zwierząt i ptaków. P. S. zakład swój zwinął, wyjechał z Warszawy i, jak się zdaje, zmienił zupełnie sposób zatrudnienia, wobec tego używać tytułu Dostawcy nie powinien.

Głównym przedstawicielem tego Zebrania był wniosek Wydziału Ochrony i polowań o otworzenie mu kredytu na 2017 rb. 52 kop. ponad budżet, bowiem zmuszony był zapłacić niektóre dzierżawy włościańskie długoletnie z góry za czas od 3 do 7 lat. Ogólne Zebranie wniosek uchwaliło, a nadto postanowiło, że odtąd Rada władną będzie w takich wypadkach asygnować Wydziałowi potrzebne nad budżet sumy, jako awans na rachunek budżetów lat przyszłych. Postanowiono nad to, aby sumę, wydaną przez Wydział na kupno urządzenia domu w Miedzny i broń dla nowych strzelców, a wynoszącą 936 rb. pokryć z funduszu wyznaczonego na kupno przedmiotów inwentarzowych, bowiem, jak wyjaśniło Ogólne Zebranie, z funduszu tego mogą czerpać wszystkie Wydziały Oddziału. Po za tem budżet Wydziału Ochrony i Polowań nie może być przekroczony.

Ogólne Zebranie przyznało Radcy prawnemu Oddziału prawo korzystania z polowań Oddziału na równi z członkami.

Delegacya wyborcza na przyszłość ma być wybierana na lat cztery, a corocznie dokonywane będą na wybory tylko $^1/_4$ części Delegacyi, t. j. 5 członków Delegacyi.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki)

W uzupełnieniu podanej w poprzednim numerze naszego pisma, wiadomości o rezultacie polowania na słonki w lasach Szostaczka, w gub. kijowskiej, dodać należy, że dwaj uczestnicy tych polowań, p. Aleksander Szwede i p. Ed. Ordu, po ukończeniu tych polowań, udali się do majątku hr. Ksawerego Branickiego, Medwin, odległego o 40 wiorst od lasów Szostaczka, i zabili tam w ciągu tygodnia 116 słonek.

Wogóle tegoroczny nalot słonek w gub. kijowskiej należał do bardzo obfitych.

W pow. słupeckim odbyły się, jak pisze „Gazeta Kaliska", dwa polowania wyłącznie na kuropatwy, z nader pomyślnym rezultatem. W Ciążyniu u p. Dąmbskiej w 5 flint w ciągu 5 godzin zabito 225 kur, przyczem p. Karczewski z Cienina zabił 54 sztuki, p. Mielęcki z Kawnic 52. W Ratyniu, wł. pp. Golczów, w 6 flint zabito 215 sztuk. Pan Mielęcki zabił 48, p. Karczewski 47.

D. 4 i 5 października (st. st.) u p. Aleksandra Doria-Dernałowicza w majątku Kadźkowie (gub. Mohylowska) odbyło się polowanie z ogarami w 4 strzelby na zające i łosie. Pierwszego dnia polowano tylko na zające w miotach, gdzie się łosie nie trzymają, i zabito 5 zajęcy. Drugiego dnia polowano na łosie; w pierwszym miocie łosi nie było, z drugiego psy wyprowadziły na strzelców przepysznego byka, który padł od kuli gospodarza; łoś ten miał przy jednej łopacie pięć gałęzi, a w drugiej dziurę owalnej formy, wielkości prawie kurzego jajka, i sześć gałęzi, z których jedna była pionowo zwrócona ku ziemi; prócz łosia, zabito tego dnia 1 zająca i 1 koguta—cietrzewia.

W d. 6 i 13 października nowego stylu, w dobrach Antonińskich hr. Józefa Potockiego na Wołyniu, odbyły się dwa kilkogodzinne w 5 strzelb polowanka. Pierwsze miało miejsce w lasku Mało-Puzyreckim, a drugie w rewirze Czerniatyskim. Na rozkładach z dnia pierwszego znalazło się: 4 lisy, 1 słonka, 2 kozły i 26 zajęcy, a z drugiego: 7 lisów, 3 słonki, 1 kozioł i 20 zajęcy, czyli razem sztuk 64. Na polowankach tych debiutowali jako myśliwi: małżonka właściciela, Helena z ks. Radziwiłłów hr. Potocka, i jedenastoletni synek hrabiego Józefa, hr. Roman Potocki. Pani hrabina niezwykłą celnością swych strzałów, doprawdy, wzbudzała podziw nawet w starych i wytrawnych myśliwych; pierwszego dnia miała na rozkładzie: lisa i zająca, a drugiego lisa, słonkę i 2 zające. Młody zaś hr. Roman, w dniu pierwszym miał 7 zajęcy, a w drugim 2 lisy i 2 zające. Następnie, dnia 15 października, polowano bardzo krótko w 4 strzelby w Wolickiej bażantarni, w celu odstrzelenia 30 zamówionych kogutów i naturalnie cel osiągnięto. I tu pani hrabina, jako pierwszy raz strzelająca w lot do bażantów, wykazała niemałą zręczność, gdyż ubiła 6 kogutów, a jej synek, hr. Roman, 3. Z takiego zapoczątkowania śmiało rokować można młodemu myśliwemu, że z czasem dojdzie do tej biegłości w strzałach i sławy, jaką się cieszy powszechnie i zaszczytnie znany na polu łowiectwa, autor pięknych dzieł myśliwskich, ojciec jego, hr. Józef Potocki, czego młodemu koledze po broni, szczerze i z serca życzymy. *A. Śliwiński.*

Drobiazgi myśliwskie.

Konkursy strzeleckie jesienne, odbywające się w ciągu ubiegłego miesiąca w warszawskiej strzelnicy, przeszły bez większego ożywienia. Skończyły się one w d. 31 października, przeto rezultaty możemy podać dopiero w następnym numerze.

Szkody żubrów. Okolice, otaczające Białowieską puszczę, mają swój specyalny, miejscowy kłopot z powodu szkód, czynionych na polu przez zwierzynę, wychodzącą na żer z puszczy. Strzelać do tych zwierząt niewolno. Za zabicie żubra grozi kara w wysokości 500 rubli. Tymczasem żubr jest plagą włościańskich pól: W niedawno rozpatrywanej przez Senat sprawie, włościanin Rychlicki poszukiwał na białowieskim okręgu dóbr udzielnych, 44 rb. 25 kop. za zniszczone przez wypadające z puszczy żubry, siano. Sąd okręgowy uznał słuszność pretensyi Rychlickiego; wileńska izba sądowa wyrok sądu unieważniła na tej zasadzie, że żubry, jako zwierzyna, w chwili czynienia szkody „należały do włościan na prawie własności". Kwestya szkód, przez żubry dokonywanych, dla miejscowych gospodarzów jest niebagatelną sprawą, jak zrozumieć można było z tonu, którym cały szereg świadków dawał przed sądem zeznania. Ci wszyscy ludzie dobitnie opowiadali, jak dużo złego im wyrządzają żubry. Senat potwierdził wyrok izby sądowej wileńskiej i skargę kasacyjną włościanina R. odrzucił.

Pozwolenie na broń. Zarząd kolei wiedeńskiej zobowiązał swych urzędników w ostatnim rozkazie dziennym, ażeby w razie chęci otrzymania pozwolenia na broń myśliwską, zwracali się uprzednio do swych zwierzchników, co do kwalifikacyj petenta moralnych i służbowych; zarząd kolei będzie wydawał zaświadczenia, na zasadzie których urzędnicy będą mogli występować ze staraniem o pozwolenie utrzymywania broni myśliwskiej, do właściwych władz administracyjnych i policyjnych.

Zające i... cylindry. Do wyrobu cylindrów używane są skórki zajęcze, które kapelusznicy nabywają od kucharzy w pierwszorzędnych restauracyach, z czego mają oni znaczne dochody. Przed kilku tygodniami przybył do Warszawy agent pewnej firmy w Lipsku i zawiązał stosunki z kucharzami w dużych restauracyach w tym celu, aby tylko jemu sprzedawano skórki zajęcze, za które on płaci znacznie drożej, niż płacili dotychczas miejscowi kapelusznicy. Po-

dobno, że firma lipska zakupuje te skórki do wyrobu jakiegoś imitacyjnego futra.

Podstawione psy. W warszawskim sądzie okręgowym rozstrzygana będzie niezwykła sprawa. Zmarła w r. 1896 pani B. przekazała swemu krewnemu cały majątek, z warunkiem, że krewny wypłacać będzie niejakiej Katarzynie Kostrzewowej po 500 rb. rocznie na utrzymanie trzech psów, aż do czasu zdechnięcia ostatniego z nich. W ciągu kilkunastu lat krewny pani B. spełniał ten warunek testamentu, płacąc K. po okazaniu mu psów, po 500 rb. rocznie. W roku zeszłym spadkobierca dowiedział się przypadkiem, iż wszystkie psy dawno już zdechły, wobec czego Kostrzewowa zamieniła ostatniego psa na innego, podobnego, którego okazywała następnie i otrzymywała pieniądze. Spadkobierca przerwał wypłatę. K. pozwała go do sądu, chcąc udowodnić na zasadzie zeznania świadków, że psy dawno już zdechły, i żądając wykreślenia z wykazu hypotecznego swej nieruchomości, zapisanej w tym wykazie pensyi dożywotniej na korzyść owych psów.

Biały lis. W Dąbrówce, w Poznańskiem, należącej do pana Borcka, podczas naganki na króliki, ubito lisa, który był ze wszystkiem lśniąco biały, z wyjątkiem spodniej strony słuchów i przednich stron nóg, które były zupełnie czarne. Oczy nie były czerwone, lecz miały zwykłe zabarwienie tęczówki; nie był to zatem wypadek albinizmu. W każdym razie takie ubarwienie lisa jest wielką rzadkością, podczas gdy mniej lub więcej *czarne* lisy zdarzają się częściej. Lis oddany został do Bocka w Berlinie do wypchania.

Wielki rozkład. Na polowaniu u hr. Palffy w Brenicu w Czechach; 8 myśliwych ubiło jednego dnia 1029 kuropatw.

Bażanty a grousy. Podług „Fielda", wprowadzenie bażantów angielskich do Pennsylwanii, co nastąpiło przed kilku laty w znacznej ilości, — miało ten skutek, że grousy amerykańskie wszędzie zniknęły. Jak bowiem twierdzą ludzie, zamieszkujący w pobliżu lasów, między bażantami a grousami istnieje największa nienawiść. Pierwsze, jako wiele większe i silniejsze, prześladują drugie ustawicznie, a wynik tej walki był taki, że ptactwo amerykańskie ustąpiło miejsca angielskiemu.

Grzeczny kawaler. (Dama do swego sąsiada przy stole). Ja tak lubię kwiaty i tak się na nich znam, że po ciemku poczuję, z jakich kwiatów bukiet się składa...

Kawaler. To piramidalne. Z łaskawej pani byłby bajeczny wyżeł.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Cietrzew.

1. Cietrzew mądry ptak, bo wódki nie pije.
2. Lepszy wróbel w ręku, „jak" cietrzew na sęku.
3. Nie na każdem drzewie siadają cietrzewie.
4. Głupi, jak cietrzew.
5. Siedzi, jak cietrzew na choinie (lub kościele).
6. Wykurzyć, jak cietrzewie z mioteł.

Ciućka (piesek).

1. Nie weźmie nie ciućka, gdy nie zrobi mruczka.
2. Wygląda, jak ciućka na uwięzi.
3. Skurczył się, jak angielska ciućka. (*C. d. n.*).

Treść Nr. 21 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.